NUMER 17. DNIA 6. MAJA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Skąd szli orłowie!

„Ani kością, ani złotem
„Pułap nie lśni się w mym domu.
Horacy.

Dwa wieki pełzała przed nimi literatura panegiryczna, ich pałace, ich stoły „z wielką symetrją i apparencją zastawiane“ skaziły same zaczątki dziennikarstwa polskiego, im kościół swe pienia i modły poświęcał, garnizony miast stołecznych salwami dział i muszkietów rozgłaszały ich pijackie toasty, na ich żołdzie stała kultura i sztuka nawet obcych mistrzów. Wszystko służyło polskim magnatom, pokolenia niosły im w dani „swych uczuć przędzę i swych myśli kwiaty“, pracą znojną dla nich się zagony orały, ich potrzebami warczały rzemieślnicze warsztaty.

Fig. 1.



„Skąd szli orłowie“: Mereczowszczyzna, dom rodzinny Tadeusza Kościuszki.

A jednak nie w tych dumnych, marmurowych pałacach, które dziś pustką i ruiną zaległy, urodziło się nowe życie narodu, nie z magnackich gniazd, na które oczy wszystkich były zwrócone szli orłowie, potężne duchy, myśliciele, geniusze porozbiorowej Polski.

Rzecz dziwna zaiste, jak cała myśl i smętna a nieugięta potęga Polski w czasach niewoli zrodziła się pod niską strzechą dworku, szlacheckiego to prawda, ale tego dworku, co z chaty się podniósł włościańskiej i tej chaty najbliższym był krewniakiem. „Ani kością ani złotem pułap nie lśnił się“ w domu rodzinnym Kościuszki i Mickiewicza, nie urodził się w pałacu lub dworze Szopen, Wincenty Pol, nie żyli pośród marmurów Karpiński, Władysław Syrokomla, nie wywiodły się wreszcie z zamków magnackich one szare a żwawe pokolenia, co krwią swoją pola bitew zlewały, gwarem i życiem i pracą trzymały wysoko sztandar narodowy i dotąd go jeszcze prawie trzymają.

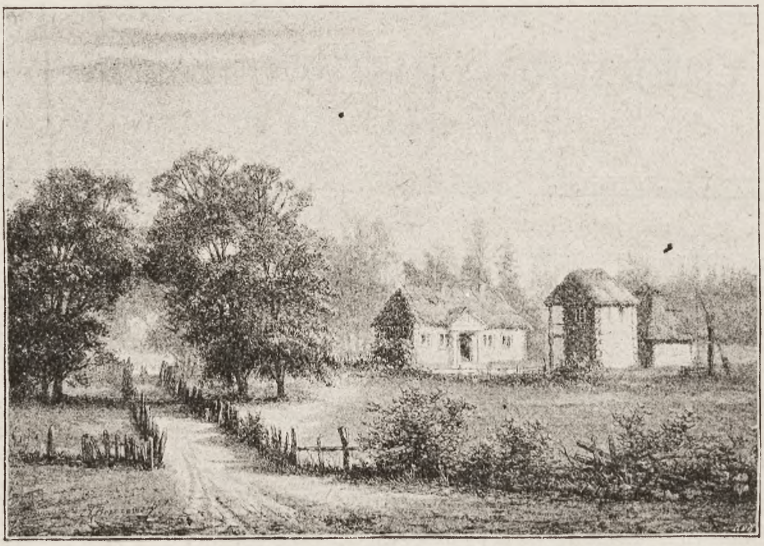
Postęp, rozwój nowych form życia, zmiótł te szlacheckie chatynki prawie zupełnie z ziem polskich. Nie masz już dzisiaj onych dworków zagonowej, pół i ćwierć wioskowej szlachty. Znikły tak samo, jak ich właściciele, typy, które w nich mieszkały, wsiąkły w nowe formy bytowania narodowego. Ale z tych dworków wyszli najlepsi ludzie narodu, na ich podścielisku wzrosła siła Polski, która ją trzymała do czasu uświadomienia ludu wiejskiego.

Właściwie dwór szlachecki, ot taki, jak te orle gniazda, których, podobizny w dzisiejszym numerze „Tygodnia“ podajemy, był, jak to słusznie wywiódł ś. p. Mokłowski, niczem innem, tylko wyższym już nieco typem chaty włościańskiej. Z podwórzem na środku, z budynkami gospodarczemi na skrzydłach jest on tylko rozrośniętą chłopską zagrodą, a różnica zasadnicza leży często w tem tylko, że „dwór zamiast sadowić się węższem czołem do głównej ulicy, obraca swoją najszerszą twarz ku bramie wjazdowej i zdobi się w mniej lub więcej wytworny ganek słupkowy“.

Jakoż „Mereczowszczyzna“ na Litwie, dom rodzinny Tadeusza Kościuszki (fig. 1.), „Zaosie“, miejsce urodzenia Adama Mickiewicza (fig. 2), przedstawiają się jako typowe dworki szlacheckie. Pa-

trząc na ich prostotę, a przytem taką jakąś swojską, cichą piękność, ocienioną stuletnimi dębami czy lipami, rozumie się dziwnie dobrze i dziwnie serdecznie duszę tych, co tam mieszkali, światło dzienne ujrzeli, pierwsze kroki stawiali po wyboistym dziedzińcu i niewymyślnych trawnikach. A równocześnie zrozumiałą się staje powrotna fala tęsknoty, chwytająca, zwłaszcza z wiosną, tych, co niezbyt jeszcze dużo mają pokoleń za sobą, które zamieszkały w mieście. Bo właściwie cała prawie ludność miast wielkich to rozbitki z owych dworków i chat włościańskich, więc ich potomków, nic dziwnego, że czasami jeszcze ogarnie duszna tęsknota do owego wiejskiego zacisza.

Fig. 2.



„Skąd szli orłowie": Zaosie, miejsce urodzenia Adama Mickiewicza.

Dworek w Załuczu, mieszkanie Władysława Syrokomli (fig. 3.) i „Chorowszczyzna", w której ostatnie lata swego życia przebył Franciszek Karpiński również tłumaczą bardzo dobrze charakter, usposobienie, utwory wreszcie swoich właścicieli. Załucze niedaleko od Mira na Litwie było „Tusculum", w którem wielka rozpościerała się bieda. „Dach zaciekał, nieraz nie było nawet czterdziestówki do rozporządzenia", ale też osobliwy tam człowiek mieszkał. Powiadają, że gdy Syrokomli, przy sposobności ożenku, dostał się jako cały posag egzemplarz „Historji literatury" Wiśniewskiego, poeta nie posiadał się z radości, ceniąc ten dar wyżej nad wszelkie posagi. Bardziej natomiast praktycznym był Franciszek Karpiński, którego Chorowszczyzna w Grodzieńskiem własną, pracą zdobyta, przedstawia się już jako wyższy i bogatszy typ dworu szlacheckiego.

Cóż powiedzieć, o nad wyraz skromnym i ubogim domku w Żelazowej Woli pod Warszawą, w którym ujrzał światło dzienne największy genjusz polskiej muzyki, Fryderyk Szopen. (fig. 5.) Chyba tylko tyle, że nie wygląda on wcale na orle gniazdo, a jednak skrzydlaty genjusz poszedł z niego na chwałę swojego narodu.

Charakterystyczny typ przedstawia wreszcie „Firlejówka" pod Lublinem, miejsce urodzenia Wincentego Pola. Prawdziwy zabytek budownictwa z XVIII. wieku z dachem o t. z. „polskim mansardzie", ciekawe uzupełnienie do samej osoby piewcy życia drobnej szlachty z czasów przedrozbiorowych.

Tak, jak są te domki, orłowe gniazda, tłumaczą one jeszcze jedną rzecz. Umiłowanie ludu wiejskiego u tych najlepszych ludzi swojego pokolenia, zrozumienie jego duszy, potrzeb, apostolstwo gorące, serdeczne tej wielkiej ewangelji narodowej, że tylko w ludzie wiejskim jest przyszłość ojczyzny. Kto bowiem, jak Kościuszko, Mickiewicz, Szopen, Karpiński, Syrokomla, Pol urodził się tak blisko chaty chłopskiej, w bezpośredniem jej sąsiedztwie nie tylko miejscowem, ale i historycznem także, ten nic dziwnego, że odczuł, zrozumiał, wyśpiewał duszę chłopską, a zrozumiawszy, wyznaczył jej pierwsze miejsce w umiłowanej, wolnej ojczyźnie.

Fr. Jaw.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy.)

1. kwietnia.

Wielkiem dobrodziejstwem jest świeża woda, zatkałam otwór w drzwiach, by módz spokojnie ubrać się, i odświeżona wodą, silniejszą uczułam się, niż dnia poprzedniego. Ha trudno! stało się! trzeba tylko dziś myśleć o tem, by nie uledz, by nie dać się złamać. Taka bezczynność do niczego mię nie doprowadzi, rozkołysze tylko myśli, rozdenerwuje duszę. Ongi, gdy więzień siedział zatopiony w swych myślach, wpadał strażnik, wołając:

„Nie dumaj“. *) Postanowiłam być niejako strażnikiem swych myśli i nie pozwalać im na bezgraniczne rozkołysanie wyobraźni.

Źle się stało, źle jest, ale póty, póki mam silną wolę i spokój umysłu, nie obawiam się niczego. Postanowiłam walczyć z dławiącym mię niepokojem, z tęsknotą i targaniem bezsilnem istoty więzionej. Muszę się czemś zająć, muszę czytać, pracować umysłowo, robić jakie roboty, byle nie siedzieć bezczynnie.

Dziś piłam na śniadanie herbatę i zjadłam jeden bułecznik; mam już własny imbryk do wody, szklankę, herbatę, więc i śniadanie było obfitsze, wprawdzie głównie w wodę gorącą, ale i to wiele znaczyło wobec dotkliwego zimna. Gdy uprzątnęłam celę, weszła dozorczyni, przynosząc mi szal ciepły i inne polecone sprawunki: płótno, nici, igły; miałam więc potrzebne mi do roboty rzeczy.

Panna Julja zapytała mię, czy spałam cokolwiek.

— Tyle, — odrzekłam — ile można spać, leżąc na dwóch stołkach bez poduszki.

— Powinna pani zobaczyć się z doktorem.

— Po co? jestem zupełnie zdrowa.

— Doktor tylko może pani przepisać łóżko, pościel, lepsze jedzenie, bo wiem, iż wczoraj nie wzięła pani nic do ust.

— I dziś również — odrzekłam — nie będę jadła. Jadło, które dają, ma dziwny zapach i nie pojmuję, coby mi doktor mógł pomódz; zresztą cóż ja mu powiem, nawet głowa mię nie boli.

Skinęła ręką.

— Zawsze można coś tam wymyśleć. Za pierwszym razem to się tak bardzo nie pozna, a zawsze pani uzyska ulgi.

— Czy doktor Polak?

— Rosjanin.

— No, to chyba na niego rachować nie mogę. Cóż mi moskal dobrego zrobi?

— Czy pani nie wierzy w to, by rosjanin mógł być uczciwym człowiekiem? — zapytała.

— Nie bardzo — odrzekłam — zwłaszcza tu u nas, może tam w głębi Rosji są jakie feniksy.

— E, niech pani już tak źle nie sądzi i posłucha mej rady. Nasz doktor jest bardzo uprzejmy, dobrze wychowany i przytem bardzo piękny.

— To ostatnie najmniej mię wzrusza, zaśmiałam się, poczekam aż zachoruję, to wtedy on tu przyjdzie, no i może zrobi mi możliwe dogodności.

— Co tam czekać na chorobę, rzekła panna Julja, niech pani zaraz dziś pójdzie, to będzie najlepiej.

— A pani czy jesteś Polką, zapytałam, czy też pogodzisz mię z tą prawdą, iż rosjanie są zacni ludzie?

— Jestem ewangieliczką, rzekła śmiejąc się.

Nowa narodowość, pomyślałam.

Panna Julja odeszła, ja zaś zabrałam się do roboty, rozłożyłam godziny dzienne i postanowiłam rano czytać rzeczy naukowe, poważne, popołudniu szyć, wieczorem miałam czytać powieści. Dano mi poprzedniego dnia książki, miałam więc odrazu zajęcie. Pierwszą książkę, którą czytałam, było Payota „Kształcenie woli“; doskonale wypadło.

Fig. 3.



„Skąd szli orłowie“: Dworek w Załuczu, mieszkanie Władysława Syrokomli.

Strażnik przyszedł i zabrał mi drugi stołek mimo moich próśb; skazaną byłam na spanie w siedzącej pozycji, w przeciwnym razie położyć by mi się wypadło na ziemi, gdyż podłogi w celi nie było, tylko ubita z gliny, niemożliwie zimna.

2. kwietnia. Trzeci dzień jestem zamkniętą i trzeci dzień żyję jeszcze herbatą i bułecznikami, więcej już sucharami. Prosiłam, by mi za moje pieniądze dostarczano codzień kwartę mleka i 4 bułki. Dotąd jednak nic mi nie dano; może mię chcą w ten sposób zmusić do jedzenia więziennego. Na próżno jednak czuję głód, na próżno powtarzam sobie, że przecie inni więźniowie żyją miesiące całe tem pożywieniem — a cóżem od nich lepszego — nie, nie mogę przełknąć ani barszczu, ani kapusty, ani klusek, ani grochu. Wszystko to mi codziennie przynoszą, ale zawsze nietknięte odnoszą. Nie kładłam się też jeszcze na tem posłaniu; noce spędzam sie-

*) Nie myśl.

dząc przy stole, czasem usypiam nieco na parę chwil. Ten brak snu i wygodnego posłania męczy mię bardziej, niż głód. Nie wychodziłam wcale dotąd na spacer, mimo, iż codzień mi to proponują;

Fig. 4.



„Skąd szli orłowie“: Chorowszczyzna, mieszkanie Franciszka Karpińskiego.

nie mam wprost chęci. Nie znam więc jeszcze obrębu więziennego, gdyż z okna nic widzieć nie mogę, zaledwo je otworzyć potrafię sama i to z trudnością. Kiedyś stanęłam na stołku, by coś nieco zobaczyć, ale dojrzałam tylko żółtą ścianę bocznego pawilonu więzienia i nic nadto.

Przez otwarte okno słyszę głosy kobiece, są to zapewne uwięzione. Czasem słyszę rozmowę strażników i jakiś ciągły niemożliwy zgrzyt; pojąć nie mogę, co to jest. Byłyżby to kajdany więźniów; cóżby oni robili tu pod ścianą? Ten zgrzyt drażni mię okrutnie, nie pytam o to strażnika, gdyż nie podoba mi się ten człowiek. Ile razy go o co proszę, zawsze spełnia, ale gdy o co zapytam, wzrusza ramionami, błyska żółtemi źrenicami i odchodzi. Snać ściśle przestrzega regulaminu więziennego. Oprócz tego zgrzytu, mam jeszcze jedno utrapienie. Dzień więzienny rozpoczyna się tu o szóstej; na chwilkę przedtem, nim wybije godzina na wieżowym zegarze, słychać kołatkę, potem następuje otwieranie drzwi cel więziennych. Mieszkam na drugiem piętrze, cel jest 44, zajętych 42, słyszę więc, jak na każdem piętrze otwierają się cele; to dzienni strażnicy (jest i w tym pawilonie trzech, po jednym na każdem piętrze, na każde 14 cel) sprawdzają, czy więźniowie w nocy nie pouciekali. Otwierają drzwi, wsuwają głowy, rozglądają się po celi i napowrót ją zamykają. Czasami niektórym więźniom rzucą słowo.

— „Za pół godziny na spacer“. — Ciekawam, czy mnie też kiedy ten rozkaz spotka.

(C. d. n.)

HENRYK HEINE.

Anno 1839.

Niemcy, miłości ma daleka,
Gdy wspomnę was, łza w oku lśni!
Wesołą Francję cień powleka,
Lekki ów naród ciąży mi.

Jeno rozsądek zimny, szary,
W kpiącym Paryżu wodzi rej —
Głupoty dzwonki, dzwonki wiary
Tak słodko brzmicie w ziemi mej!

Uprzejmość mężczyzn! Wierzcie państwo,
Chłodny oddaję ukłon im —
Doznane w kraju tam grubiaństwo
Było szczęśliwym losem mym!

Wesołość niewiast! Paplą stale...
Je ustatkować — ani rusz!
Nasze więc białogłowy chwalę,
Co milcząc kładą się do łóż.

Wszystko w burzliwym tu zamęcie
Wiruje, jak w szalonym śnie!
U nas w porządku czeka święcie...
Jak przygwożdżone, ledwie tchnie.

I zda mi się, że zdala słyszę
Nocnego stróża cichy zew;
Pieśń jego mąci nocną ciszę...
Śród niej słowiczy dzwoni śpiew.

Dobrze mi było w tej ustroni
W dębowym Szyldy gaju tym;
Z blasku księżyca, z fiołków woni
Pieszczony mi się splatał rym.

Tłum. WŁADYSŁAW NAWROCKI.

Fig. 5.



„Skąd szli orłowie“: Żelazowa Woda, dom rodzinny Fryderyka Szopena.

Autonomia i Federalizm.

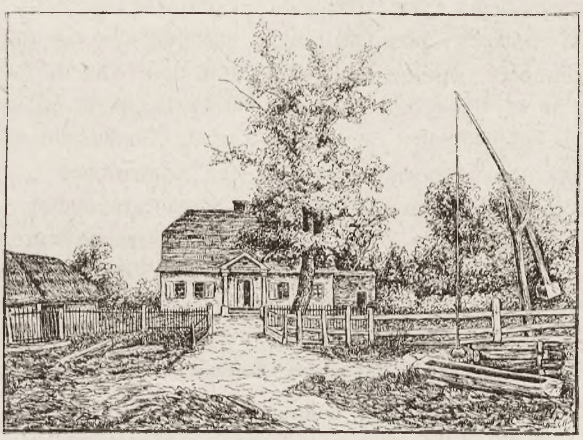
(Kulczycki Ludwik: Autonomia i Federalizm w ustroju państw konstytucyjnych. Pol. Tow. Nakł. Lwów 1906 r.)

Autoreferat.

I.

Polskie Towarzystwo Nakładowe, chcąc uczynić zadość naglącej potrzebie społeczeństwa naszego w zaborze rosyjskim i pomódz mu w orjentowaniu się w dziedzinie spraw polityczno-społecznych, dotyczących wszystkich stron życia zbiorowego, postanowiło przedsiębrać szereg wydawnictw popularnych, przeznaczonych dla szerszych kół czytelników, omawiających zagadnienia prawno-państwowe, administracyjne, finansowe, organizacje zawodowe, kooperatywy itp. Samo się przez się rozumie, że sprawy te są ważne i dla czytelników z innych zaborów, dla mieszkańców Królestwa mają one tem większe znaczenie, że w całej Rosji rozpoczął się doniosły okres przeobrażeń na wszystkich polach życia społeczno-politycznego.

Fig. 6.



„Skąd szli orłowie“: „Firlejówka“, dom rodzinny Wincentego Pola.

Pierwszą pracę z powyższej serji wydawnictw, dotyczącą urządzeń autonomicznych, powierzono mnie.

Zadanie moje polegało na tem, aby przedstawić rozmaite typy autonomji prowincjonalnej i krajowej w związku z ustrojem konstytucyjnym ogólnopaństwowym, i aby następnie omówić przyszły ustrój państwowy Rosji i Królestwa Polskiego, z punktu widzenia możliwości politycznych i interesów jak najszerszych warstw społeczeństwa polskiego. Naturalnie musiałem poruszyć kwestje teoretyczne, dotyczące decentralizacji i centralizacji.

Plan pracy mojej jest następujący. We wstępie charakteryzuję ustrój współczesnego państwa konstytucyjnego, omawiając atrybucję parlamentów, podział ich na izby, wzajemny stosunek tych ostatnich do siebie i do głowy państwa; rozpatruję następnie wartość różnych systemów wyborczych, stosunek władz państwowych do siebie, znaczenie partji politycznych w mechanizmie ustroju konstytucyjnego; wreszcie omawiam wady współczesnego parlamentaryzmu i środki zaradcze przeciwko nim. W pierwszym rozdziale daję charakterystykę autonomji i samorządu departamentów we Francji, hrabstw w Anglji i prowincji w Prusach, omawiając kwestje prawa centralizacji i decentralizacji w państwach jednolitych. Rozdział drugi poświęcony jest organizacji państw złożonych, zapewniających poszczególnym krajom autonomję; przedstawiam tu w krótkości ustrój Austrji, autonomję Galicji, stosunek Kroacji do Węgier, oraz Anglji do niektórych z jej kolonji. W końcu rozdziału rozpatruję kwestję centralizacji i decentralizacji w państwach złożonych. Rozdział trzeci omawia sprawę autonomji narodowościowej nieterytorjalnej, nabierającej coraz większego znaczenia praktycznego wobec ruchów narodowościowych i wobec faktu, że skutkiem przyczyn ekonomicznych i dogodnych środków komunikacji, różne terytorja państwowe zaludniają się przez ludność mięszaną pod względem narodowościowym. Rozdział czwarty poświęcony jest federalizmowi. Na początku omawiam jego ogólny charakter, następnie zaś przechodzę do opisu w zarysach głównych ustroju państwowego Stanów Zjednoczonych A. P., Szwajcarji i Niemiec, w końcu zastanawiam się nad stosunkiem federalizmu do tendencji rozwojowych społeczeństw współczesnych. Rozdział piąty poświęcony jest unji osobistej i realnej. Szósty omawia przyszły ustrój państwowy Rosji i Królestwa Polskiego. Taką jest treść mojej pracy ostatniej. Co do stanowiska, które zajmuję w rozpatrywanych w niej zagadnieniach, to jest ono następujące.

Wychodząc z założenia, że parlamenty powinny być dokładnym wyrazem prądów nurtujących w społeczeństwie, wypowiadam się za równem, powszechnem, bezpośredniem i tajnem prawem głosowania, za wyborami proporcjonalnymi, za systemem jednoizbowym, za gabinetem ministerjalnym, odpowiedzialnym przed parlamentem. Nie jestem zwolennikiem referendum, ponieważ faktycznie nie oddaje ono prawodawstwa w ręce ludu, a z drugiej strony ma poważne braki. Masy nawet mało oświecone mogą się orjentować dobrze w wyborze posłów, wiedząc na ogół, jaki program lepiej odpowiada ich

interesom; natomiast mogą nie być uzdolnionemi do bezpośredniego stanowienia praw. Zresztą sama praktyka wykazała, że bezpośrednie prawodawstwo ludowe nie daje tych rezultatów, których się po niem spodziewano.

Państwo nowożytne, jednolite, potrzebuje niezawodnie w pewnym zakresie centralizacji, tak n. p. w dziedzinie wojskowości, polityki handlowej, spraw zagranicznych, ustawodawstwa kolejowego, organizacji sądownictwa, kodeksów prawnych itp. Poza tem jednak można i należy pozostawić prowincjom możność zastosowywania ustaw ogólnych do spraw miejscowych. Potrzeby współczesnego państwa są nader liczne, w pewnych, ściśle określonych granicach, muszą być one zaspokojone, gdyż stanowią minimum niezbędne dla normalnego życia państwowego. Zaspokojenie tych potrzeb powinno być przedmiotem uchwał parlamentu ogólno-państwowego; on bowiem tylko może być kompetentnym sędzią w sprawie interesów całego państwa. Natomiast to wszystko, co przekracza tę normę przeciętną, może być i powinno być pozostawione sejmikom prowincjonalnym.

Przykłady uwydatnią lepiej powyższy pogląd. Państwo potrzebuje pewnych środków komunikacji, mających dla niego znaczenie ogólne; prowincje muszą wziąć udział w ich przeprowadzeniu na skutek decyzji, powziętej w parlamencie. Natomiast środki komunikacji, nie mające znaczenia dla całego państwa, powinny być pozostawione sejmikom prowincjonalnym. Państwo ustanawia ogólny typ średnich zakładów naukowych, przez co chce wytworzyć pewien typ minimalny średniego wykształcenia. Wszystkie prowincje posiadać powinny zakłady naukowe, w których wykładanoby przedmioty wskazane przez uchwałę parlamentu. Sejmiki prowincjonalne powinny jednakże posiadać prawo dopełniania programu średnich zakładów naukowych przez dodanie niektórych przedmiotów, przekraczających zakres minimum wiedzy, określonej przez państwo. Przykładów takich można przytoczyć więcej. Im szerszą jest autonomja prowincjonalna, tem większą jest ofiarność obywateli na rzecz zaspokojenia potrzeb miejscowych; wtedy bowiem korzystają oni bezpośrednio z tych ofiar, które ponoszą i mają możność takiej kontroli co do użytku, jaki się z nich robi.

Centralizacja w wyjątkowych tylko okresach sprzyja większemu rozwojowi społecznemu. Naprzykład w epoce rozkładania się ustroju feudalnego, despotyzm oświecony, opierający się na centralizacji i biurokracji, skłonniejszym był do pewnej kategorji reform, aniżeli stany prowincjonalne, będące wyrazem ustroju autonomicznego. Ale reformy te, w dziedzinie prawodawstwa cywilnego, stosunkach agrarnych itp. odbywały się ciężkiemi ofiarami przez wzmocnienie siły biurokracji.

Jeżeli nawet w państwach jednolitych potrzebną jest pewna samodzielność prowincji poszczególnych w sprawach miejscowych, to cóż dopiero powiedzieć o państwach złożonych, zaludnionych przez odrębne narody, posiadające własną kulturę i stojące na różnych stopniach rozwoju społecznego i politycznego? Oczywiście, w takich warunkach państwo powinno pozostawiać swym częściom szeroki zakres samodzielności. Parlament centralny nie może z korzyścią dla całego państwa i jego części rozstrzygać wszystkich żywotnych spraw ludności tak różnorodnej. Posłowie takiego parlamentu nie mogą posiadać dość kompetencji, nie znając dokładnie warunków w całem państwie, do rozstrzygania bez szkody dla ogółu wszystkich spraw, dotyczących różnych części państwa. Centralizm w państwach złożonych utrudnia też kontrolowanie posłów przez szersze warstwy. Ocena stanowiska posłów wobec różnorodności spraw, na tle warunków w różnych częściach państwa, wymaga olbrzymiej wiedzy i wielkiej przenikliwości umysłu, czego przeciętni obywatele nie posiadają. Wynikiem tego jest lekceważenie opinji publicznej przez posłów, brak kontaktu między ogółem a parlamentem.

(Dok. nast.) *L. Kulczycki.*

Męczennicy z Manczestru.

Ustęp z dziejów fenianizmu w Irlandji.

III.

Jak już powiedzieliśmy, szeroka droga łączy Manczester z więzieniem, do którego Kelly i Deasy mieli być odstawieni. Ale szosa ta nie jest drogą wiejską, jeno podmiejską; po obu stronach drogi wznoszą się domy, gdzieniegdzie przerwane tylko ogrodem lub placem jeszcze pustym. Tylko na nieznacznej przestrzeni domy ustępują miejsca większemu placowi, tak zwanemu Common t. j. wspólnemu, gminnemu trawnikowi, służącemu zwykle do gier sportowych. Tuż za Common ciągnie się gęsty szereg domów po obu stronach drogi, przerwanych tylko mostem kolejowym, wznoszącym się na wysokiem podmurowaniu.

Dnia 18. września 1867 roku można było widzieć gromadkę, złożoną z 25 ludzi, zabawiających się grą w piłkę na Common tylko co opisanem. Dzień był pochmurny, wilgotny i żwawe a silne głosy mężczyzn zdawały się urągać tej przygniatającej atmosferze, pełnej smutku i ciemności blizkich. Wtem wzdłuż szosy rozlegają się sygnały, zjawia się dorożka, z której ręka męska powiewa białą chustką. Gra zostaje przerwana i nasza gromadka spieszy żwawo ku szosie, na której ukazuje się Black-Maria.

W jednej chwili wóz więzienny zostaje otoczony. Gromkie „stój“ rozlega się w powietrzu, ale z twarzy woźnicy można wyczytać wyraz oporu i raczej postanowienie przebicia się wozem choćby przez ciała ludzkie. Wystrzał z rewolweru zabija jednego z koni. Wóz się zatrzymuje. „A teraz strzelać w powietrze“ szepcze głos dowódcy wyprawy. I wnet rozlega się kilkanaście strzałów, skierowanych w górę, jak gdyby wzywając obłoki gęste do rostąpienia się. Obłoki zachowują swą majestatyczną powagę, ale tuzin policjantów, usadowionych na wozie, rzuca broń i ratuje się ucieczką. W powietrzu widać kilka kamieni, skierowanych na wóz. Jeden z tych kamieni, jakby w zapasach z policją, rani jednego ze straży bezpieczeństwa i to w część ciała, której ludzie odważni nie mają zwyczaju wystawiać na niebezpieczeństwo. W tej walce jest to dotychczas jedyne uderzenie, otrzymane przez policję ze strony napastników.

Już część gromady jest na dachu wozu, starając się przebić blachę i zrobić otwór; inni stoją przed drzwiami zewnętrznemi, usiłując wyłamać takowe. Daremne usiłowania! Najbliżej wozu stojący domagają się kluczy od kaprala Bretta, który zajmuje miejsce w przejściu wewnętrznem wozu. Ale Brett, spodziewający się posiłku i widząc tłum angielski, zbliżający się do wozu, opiera się żądaniu napastników i kryje się. Wtedy jeden z gromady woła: „wysadzić zamek strzałem.“ Rozlega się wystrzał, mierzony przez otwór od klucza. Drzwi pomimo to nie ustępują. W tem ukazuje się w okienku wozu kobieta, która wydaje klucze i tłómaczy, że kula wymierzona w zamek, ugodziła w Bretta i położyła go trupem na miejscu.

Drzwi wozu już otwarte i Kelly oraz Deasy ukazują się z kajdanami na rękach. Towarzysze ich otaczają i usiłują uprowadzić aż do mostu kolejowego. Tymczasem tłum wrogi, złożony z kilkuset ludzi, naciera na uchodzących. Zewsząd rozlegają się krzyki wrogie przeciw Irlandji. Policja, która zatrzymała się w swej ucieczce, wraca teraz z posiłkami i przedziera się przez tłum, by odbić więźniów. Ale garstka walecznych posuwa się ze swą zdobyczą stale ku murom, na których wspiera się most koleji. Gdy już doszli do łuku mostowego Allen, O'Brien i Larkin tworzą mur ze swych ciał. Allen obejmuje Kelly'ego w uścisku braterskim, dodając: „Ja umrę za ciebie“, jak gdyby przeczuwał swą przyszłość męczeńską.

Kelly i Deasy znikają za murem, gdzie oczekuje ich dorożka z towarzyszem broni na koźle. Tylko kajdany na rękach przypominają ich niedawną niewolę, ale zresztą znajdują się pod pieczą zielonego sztandaru Erinu, niesionego przez chorążych równie wiernych, jak odważnych. Za chwilę tłum rozjuszony widzi przez głowy muru żywego tylko obłok kurzu, za którym jeńców wyzwolonych unosi koń szparki a chyży.

Widok ten jeszcze bardziej podbudza tłum. Grad kamieni posypał się na dzielną trójkę bohaterów irlandzkich. Teraz już oni wszyscy są otoczeni, już są w rękach swych napastników, zbrojni tylko w miłość dla swego kraju i w wiarę o jego przyszłość. Ale tłum, który niedawno jeszcze hołd oddawał Garibaldiemu, dziś, podjudzony przez prasę nieuczciwą, zdemoralizowany przez żądzę uciskania, nie mogąc znosić widoku nawet bohaterów, chce zemsty krwawej a brutalnej, — chce kamienować tych, których ciała ma już w rozporządzeniu swem.

Allen leży powalony na ziemi a tłum go wciąż dalej kamienuje. Nareszcie policji udaje się wyprosić u tłumu ciało jesze drgające, obiecując, że resztę „pracy“ dokona kat. O'Brien, Larkin zakrwawieni, Maguire ledwo żywy i Condan powalony — oto wszystkie trofea zbiorów policyjnych.

Tego samego dnia aż do późnej nocy ulice Manczestru były przepełnione tłumami ludu. Wyzwolenie Kelly'ego i Deasy'ego wydawało się urąganiem wielkiej potędze brytyjskiej, było policzkiem, wymierzonym przez garstkę chłopców irlandzkich najbogatszemu ognisku tkactwa w Anglji. Policja szalała: przetrząśnięto wszystkie domy irlandzkie; pastwiono się nad całą dzielnicą katolicką miasta. Ale napróżno: Kelly i Deasy uszli cało z Manczestru. Nazajutrz cała Anglja ciemiężycieli zaryczała z bolu: było to wielkie moralne zwycięstwo wywłaszczonych i uciskanych dzierżawców. Prasa zakipiała. „*Times*“ żądał krwi i krwi i jeszcze raz krwi.

Wobec takiego nastroju opinji publicznej, sąd złożony nad uwięzionymi musiał zamienić się w igrzysko krwawe. Nie było nawet nadziei, by sędziowie mogli zachować krew zimną w obec bez-

ustannego nawoływania do mordów legalnych, do mordów bezkarnych, bo zasłoniętych przemocą i hypokryzją form prawnych. W Irlandji lud wiedział, że przybędą tylko nowi męczennicy, bo trwoga rządu zdradzała jego drapieżność. Wszędzie zdwojono załogi, wzmocniono policję i skasowano resztki praw bezpieczeństwa i swobody jednostki.

Tymczasem stało się nawet to, czego i wrogowie Anglji nie przewidywali. Jakkolwiek prawo zabrania prasie przesądzać wyniki rozpraw karnych, tym razem nawoływania do katów nie zostały poskromione przez władzę.

Wreszcie, kiedy dnia 25. października sędziowie policyjni (rodzaj zjazdu sędziów pokoju) mieli rozstrzygać sprawę dalszego oskarżenia uwięzionych, tych ostatnich przyprowadzono w kajdanach. Adwokat oskarżonych Ernest Jones, były członek partji demokratyczno - robotniczej (czartystów) zaprotestował przeciw temu pogwałceniu prawa angielskiego. W kajdanach zjawiali się oskarżeni tylko w średnich wiekach i to podczas krwawych walk domowych, kiedy sądy były tylko formalnością dla odwetu stronniczego. Protest obrońcy pozostał bez skutku; sędziowie oświadczyli, że oskarżeni winni zostać w kajdanach, a publiczność, zgromadzona w sali, nagrodziła gwałcicieli prawa rzęsistymi oklaskami. Jones, oburzony, zebrał akta, cisnął je pod nogi sędziom i opuścił salę sądową. Zapadła uchwała, by wszystkich pięciu więźniów oskarżyć o zamordowanie kaprala Bretta.

(Dok. nast.)

S. M.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Dr. Klemens Bąkowski: „Kronika krakowska 1796 — 1848“, cz I. od r. 1796 do 1815. wyd. Bibljoteki krakowskiej r. 1905.

Bibljoteka krakowska, bardzo pożyteczne wydawnictwo, zamieszczające rzeczy, odnoszące się do historji Krakowa, zawiera obok prac ciekawych także i mniej interesujące. Do takich rzeczy gorszych należy i ta kronika. Autor zebrał niektóre artykuły i notatki z „Gazety Krakowskiej“, i zaopatrzył tytułem kroniki krakowskiej. — Ani dobór tych artykułów nie jest zbyt szczęśliwy, ani podanie ich nie jest bardzo ponętne. W doborze bowiem artykułów nie widać jakiegoś planu, ani celowości, a podane są one zwykle w skróceniu, które niewiele mówi o samej rzeczy, przez co zatraca się charakter artykułu czy też wydarzenia w nim przedstawionego. Trzeba jeszcze dodać, że niektóre ustępy są poprzekręcane, co widać zwłaszcza w wierszach.

Cała więc ta książka nic nie przynosi nowego, bo zawiera same przedruki, a jako taka na wiele chyba przydać się nie będzie mogła.

Br. P.

NOWE KSIĄŻKI.

Dr. Zofja Daszyńska-Golińska. Ujście solne. Przyczynki historyczno-statystyczne do dziejów nadwiślańskiego miasteczka. Studjum archiwalne.

Marja Konopnicka. Głosy ciszy. Poezje nowe.

Tadeusz Korzon. Kościuszko. Biografja z dokumentów wysnuta. Wydanie 2-gie.

Aleksander Kraushar. Obrazy i wizerunki historyczne z illustracjami.

Wacław Tokarz. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja. 2 tomy.

Marja Weryho. Nauka o rzeczach. Materjały do pogadanek z dziećmi dla użytku nauczycieli i wychowawców.

ZAPISKI.

Zjazd Rejowski w Krakowie. Zjazd Rejowski, który miał się odbyć pod koniec przeszłego roku, został — jak wiadomo — odroczony. Obecnie powziął Komitet Rejowski uchwałę w sprawie terminu Zjazdu. Odbędzie się on w Krakowie, nieodwołalnie w czasie od 1. do 4. lipca bieżącego roku. Program szczegółowy Zjazdu będzie ogłoszony w początkach czerwca.

„Morskie Oko“ w literaturze francuskiej. Niedawno ukazała się w Brukseli rozprawa dra Wiktora Korna, prokuratora skarbu we Lwowie, opisująca w języku francuskim cały przebieg sporu o „Morskie Oko“ wraz z wyrokiem sądu polubownego w Gracu. Tytuł tej rozprawy brzmi: *„Arbitrage dans le différend international entre l'Autriche et la Hongrie du sujet de la frontiére prés du lac dit „l'Oeil de la mer“ au Tatra“.* Jestto odbitka z *„Revue de droit international“*, brukselskiego czasopisma zajmującego się specjalnie prawem międzynarodowem. Dr. Korn, który jak wiadomo był arbitrem w sporze o „Morskie oko“ podał w niniejszej rozprawie historyczne precedense sporu, jego przebieg i wyrok sądu, ze stanowiska prawa międzynarodowego. Obok swej wysokiej prawniczej wartości, ma rozprawa dra Korna i to także, że obznajamia cudzoziemców z całą sprawą, zwracając równocześnie uwagę na samo Morskie oko. Ukazał się też niemiecki przekład tej pracy.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.